

ANDRZEJ PELCZAR

Andrzej Michał Kobos [AMK] – *Panie Profesorze, od czego zaczniemy naszą rozmowę o Uniwersytecie Jagiellońskim lat osiemdziesiątych?*

Andrzej Pelczar [AP] – Może zacznę od niełatwego problemu, w związku z którym wielokrotnie odpowiadałem i odpowiadam na dociekliwe pytania. Ma to miejsce zwłaszcza ostatnio, po ukazaniu się różnych opracowań dotyczących lat osiemdziesiątych.

AMK – *Domyślam się, że chodzi zapewne m.in. o to, co doc. dr hab. Andrzej Leon Sowa, sekretarz rektora Gierowskiego w latach 1981–1984, napisał w swoim szkicu¹:*

(...) Jednak później opinie się zmieniały. Były rektor UJ (1990–1993), prof. Andrzej Pelczar, jeden z głównych rzeczników podjęcia przez prorektorów decyzji o rezygnacji z urzędu w związku ze zgodą prof. Gierowskiego na kandydowanie do Sejmu, w rok po jego śmierci „z wdzięcznością” wspominał: „Uczyłem się od Józefa Andrzeja Gierowskiego, rektora dwóch kadencji, który pokazywał, jak w skrajnie trudnych warunkach trzeba czasem podejmować decyzje chroniące Uniwersytet, ryzykując zapłacenie dużej osobistej ceny”².

AP – Tak, o tym myślę. Otóż ja nie zmieniłem opinii. Przede wszystkim nie zmieniłem niezwykle wysokiej opinii o całości działań Józefa Gierowskiego, którego uważałem i uważam za wybitnego rektora, wielce zasłużonego dla Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także dla całego środowiska akademickiego. Ale nie zmieniłem też opinii o jego decyzji o wejściu do Sejmu w 1985 oraz mojego przekonania co do tego, że miałem prawo, a nawet obowiązek, zaznaczyć zdecydowanie swoje stanowisko przez podanie się do dymisji. I to pomimo, o czym zaraz powiem, zarówno przypuszczalnych motywów

¹ Andrzej Leon Sowa, *Prof. dr Józef Andrzej Gierowski jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego (1981–1987)*, [w:] *Profesor Józef Andrzej Gierowski jako uczony i nauczyciel. Materiały z konferencji dedykowanej pamięci Profesora i wspomnienia o Nim*, pod red. Mariusza Markiewicza i in., Prace Historyczne XL, Wrocław 2006, s. 23–34.

² Andrzej Pelczar, *Z wdzięcznością wspominam...*, „Alma Mater” 2007, nr 93, s. 62.

decyzji rektora Gierowskiego, jak i jej rezultatów. Nie kwestionuję też przypisania mi roli jednego z „głównych rzeczników podjęcia przez prorektorów decyzji o rezygnacji z urzędu” – jak napisano w zacytowanym przez Pana fragmencie – a także nie unikam za to odpowiedzialności.

Zasługi rektora Gierowskiego dla Uniwersytetu Jagiellońskiego były i są dla mnie – powtórzę – oczywiste. Byłem przekonany o słuszności wniosku o nadanie profesorowi Gierowskiemu Medalu Merentibus i byłem jednym ze stymulujących rozpoczęcie stosownej procedury. Profesor Gierowski otrzymał ten medal – to stało się za mojej kadencji rektorskiej, chociaż wręczenie nastąpiło 1 października 1993, tuż po jej zakończeniu.

Jestem przekonany co do tego, że decyzję o zgodzie na kandydowanie (a *de facto*, w praktyce, na wejście) do Sejmu podjął rektor Gierowski, uważając, iż tak trzeba dla dobra Uniwersytetu. Musiał wiedzieć, że decyzja ta spotka się z wieloma negatywnymi opiniami.

W tym sensie była to decyzja, którą można uznać za heroiczną. Chciałbym, aby było jasne i to, że mam świadomość, iż najprawdopodobniej dzięki tej decyzji ja sam nie zostałem usunięty z funkcji prorektora na fali ówczesnej ogólnopolskiej „akcji” dymisjonowania różnych osób pełniących funkcje rektorskie i dziekańskie. Dodam też jeszcze, że nader zaskakujące niepoinformowanie prorektorów o tej decyzji mogło być (pewnie było) rezultatem zamiaru wzięcia całej odpowiedzialności jedynie na siebie. Trudno mi w tej chwili oceniać potencjalne następstwa dla Uniwersytetu ewentualnej odmowy rektora Gierowskiego wejścia do ówczesnego Sejmu. Na pewno dla jego osobistej sytuacji odmowa taka miałaby – na dłuższą metę – tylko dobre skutki, tym bardziej że przecież system się chwiał. Ale tego, co nastąpiło niebawem, jak szybko ten system się rozpadnie, oczywiście, nie przewidywał.

Może warto, przed próbą jakiegoś spuentowania, krótko opowiedzieć, jak sprawa potoczyła się dalej.

Najpierw rektor Gierowski poprosił nas, tj. trzech prorektorów: Alojzego Gołębiewskiego, Aleksandra Koja i mnie, abyśmy wstrzymali się przez jakiś czas z publicznym ogłoszeniem naszych rezygnacji, prosząc jednocześnie rozważenie ich wycofania. Potem rozpoczęły się różne dyskusje. W szczególności miałem kilka rozmów z profesorem Michałem Pułaskim, który reprezentował podziemną „Solidarność”. Chodziliśmy po Plantach pod Wawelem i rozmawialiśmy – z oczywistych względów – w otwartej przestrzeni. Podziemna „Solidarność” Uniwersytetu Jagiellońskiego nalegała, abyśmy wycofali rezygnację, w szczególności abym ja wycofał moją rezygnację. Odbierałem to jako stanowisko Tajnej Komisji Zakładowej. Panowie Krzysztof Zamorski i Andrzej Sowa – sekretarze rektora, ówczesny i wcześniejszy – także rozmawiali z nami, tj. prorektorami, i również – najogólniej mówiąc – powoływali się na kręgi solidarnościowe. Argumentacja

była mniej więcej taka: zrób to – zgódź się na to, o co prosi rektor – dla dobra studentów, których masz pod opieką. Nie ukrywam, że traktowałem to (i po latach traktuję nadal) jako wyraz zaufania ze strony tych, którzy tak mówili. I bardzo to sobie ceniłem i cenię.

Cofnijmy się teraz w czasie o kilkanaście miesięcy. W wyborach rektorskich z początkiem maja 1984 zostałem prorektorem zaproponowanym przez rektora Gierowskiego – ale nastąpiło to w znacznym stopniu w wyniku jednoznacznej opinii studentów. Elektorzy studenccy odegrali kluczową rolę w moim wyborze. Gdy więc rozważałem, co zrobić z sugestiami wycofania dymisji, poprosiłem ich wszystkich do siebie, do Instytutu Matematyki UJ przy ul. Reymonta 4. Opowiedziałem im, jak sytuacja wyglądała, i zapytałem o ich zdanie co do ewentualnego wycofania mojej rezygnacji z funkcji prorektora, zaznaczając jednak: „Ja i tak będę musiał wziąć za to odpowiedzialność, i nie zobowiązuję się do zrobienia tak, jak wy będziecie uważać – ale proszę was o opinię”. Zaczęła się długa dyskusja. Po niej poprosiłem o odpowiedź na pytanie, czy według nich powinienem zastosować się do sugestii wycofania dymisji. Przeprowadzono tajne głosowanie. Wynik był taki, że dokładnie połowa była za, połowa przeciw!

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, a przede wszystkim opinię podziemnej „Solidarności”, wycofaliśmy rezygnacje na posiedzeniu Senatu Uniwersytetu. Wydaje mi się, że nie ma tego w protokole – nie przyłożyłem się wówczas do sprawdzenia, czy i jak zostało to zapisane – ale pamiętam dobrze, że w imieniu nas trzech złożyłem takie oświadczenie: „Prorektorzy: Gołębiewski, Koj i Pelczar złożyli rezygnacje, ale wycofali je na prośbę rektora i wskutek w różny sposób wyrażonej opinii środowiska”. Tak to sformułowałem i było to wtedy czytelne dla wszystkich.

Próbując – zgodnie z zapowiedzią – dojść do jakiejś puenty, chciałbym powiedzieć, że rektor Gierowski zrobił to, co uważał za dobre dla Uniwersytetu, a ja – mówię tu teraz tylko w swoim własnym imieniu – to, co uważałem za właściwe, przede wszystkim ze względu na swoją rolę wobec studentów. Uważam, że miałem prawo do takiej decyzji i – co więcej – do tego, aby studenci o tym wiedzieli. To dla nich także było ważne. Ośmielę się nawet wyznać, że ja osobiście nie miałem wyboru. Może najkrócej dałoby się ująć to tak, iż każdy z nas spełnił w jakiś sposób swoją rolę. Wycofanie zaś naszych rezygnacji w odpowiedzi na mocno wyrażone opinie podziemnej „Solidarności” (co było wiadome dość szerokiemu gronu osób) miało bardzo istotne znaczenie, jako decyzja podporządkowująca nasze działania tej opinii, co niejako – może paradoksalnie – dopełniało uprzednie dymisje, nadając im czytelną wymowę.

AMK – *Wróćmy, proszę, do tego, co działo się na Uniwersytecie we wczesnych latach osiemdziesiątych. W momencie powstania „Solidarności” nie było Pana w Polsce. Czy wiadomo Panu, że początkowo „Solidarność” na Uniwersytecie Jagiellońskim była postrzegana jako ruch adiunktów?*

AP – Na matematyce chyba tak nie było. Jednakże moja nieobecność w Polsce w latach 1978–1981 powoduje, że nie bardzo mogę się na ten temat wypowiedzieć, mimo że nie byłem kompletnie poza nurtem wydarzeń. Miałem bardzo osobiste, albo raczej rodzinne, odniesienia do tego, co się działo. Wspomnę o takiej historii. Ostatni numer „Tygodnika Solidarność” przed stanem wojennym zawierał dłuższy artykuł o fladze narodowej przykrywającej młodego człowieka, który zginął w Gdyni w grudniu 1970, a wszedł do legendy jako Janek Wiśniewski. Tę zakrwawioną flagę przechowywał mój ojciec w Bibliotece PAN w Gdańsku. Dawną, ponadczterystuletnią teraz Bibliotekę Miasta Gdańska, można by rzec, po wojnie podniósł był z gruzów. Ojciec przekazał pieczę nad tą flagą pani Damroce Majkowskiej – córce Antoniego Majkowskiego, działacza kaszubskiego z końca XIX wieku i początków II Rzeczypospolitej, uważając, że trzeba, aby młodszy mógł w razie konieczności wiedzieć, gdzie schowane są ważne (a z konieczności ukryte) pamiątki. Tymczasem Damroka Majkowska zmarła wcześniej niż mój Ojciec. Ojcu zresztą nie dano dotrzeć do emerytury na stanowisku dyrektora biblioteki, zdjęto go dwa lata przed emeryturą. Jednym z argumentów było to, że wychował dzieci w duchu klerykalnym (dodam może, że jedno z tych dzieci było wówczas docentem na Uniwersytecie Jagiellońskim). Tak na marginesie można zauważyć, że znacznie bardziej „sensowny” byłby zarzut, że drugie dziecko (moją siostrę) wychował na osobę zaangażowaną w działania „Solidarności” na Uniwersytecie Gdańskim.

Gdy w 1980 wybuchła „Solidarność”³, Ojciec przekazał tę flagę do Komisji Krajowej „Solidarności”. Potem flaga została zabrana przez bezpiekę, zapewne razem z dokumentacją, i zaginęła w czasie stanu wojennego – nie wiem, czy jeszcze istnieje, pewnie nie. Dlaczego o tym mówię? Bo to nie było tak, żebym był całkiem poza najważniejszym nurtem przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku, mimo że wtedy byłem w Nigerii, a wiedzę o tym, co się działo, czerpałem nie tylko z prasy, radia czy telewizji.

AMK – *Pod koniec 1981 roku wrócił Pan do Krakowa...*

AP – Mogę powiedzieć o tym, co uważam za ważne w tym okresie. Pod koniec 1981 wyładowałem w Polsce po trzech latach nieobecności. Nieco

³ Warto dodać, że w sierpniu 1980 w Gdańsku byliśmy świadkami przedświutu tego „wybuchu”. O podpisaniu porozumień gdańskich i szczecińskich dowiedzieliśmy się w Brukseli, w przerwie w podróży do Nigerii z urlopu spędzanego w Polsce.

wcześniej wybrany zostałem zaocznie na dyrektora Instytutu Matematyki UJ. W połowie 1981 w Nigerii dostałem niemal równocześnie dwa telegramy. Pierwszy: „Zostałeś wybrany prodziekanem. Proszę o akceptację. Andrzej Białas”. Drugi: „Zostałeś wybrany dyrektorem Instytutu. Wskaż dwóch zastępców”. Dziekanowi Andrzejowi Białasowi odpisałem, że naprawdę serdecznie dziękuję, ale wybieram kierowanie Instytutem Matematyki. Nie miał do mnie żalu, rozumiał motywy decyzji w sytuacji, gdy konieczny był jednoznaczny wybór.

Przyjechałem i prawie zaraz nastał stan wojenny. Jednak przez to, że byłem długo za granicą, miałem chyba dość nietypowe spojrzenie na tzw. rzeczywistość. Gdy 14 grudnia 1981 przyszedłem piechotą z Prokocimia Nowego, gdzie wtedy mieszkaliśmy, do Instytutu Matematyki, profesor Stanisław Łojasiewicz zapytał mnie: „Panie Andrzeju, co będzie?”. Odpowiedziałem: „Nic nie będzie, daję im pięć lat”. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, bałem się tylko, w jaki sposób to się rozwali. Trwało trochę dłużej – osiem lat. Pamiętam też, że do Instytutu Matematyki przyszedł komisarz wojskowy, starszy człowiek z zewnątrz. Miał wystąpić na zebraniu pracowników. On także zapytał mnie: „Panie profesorze, co będzie?” – „Nic nie będzie, powie pan, co ma pan powiedzieć”, i dodałem przekornie: „Nic panu nie zrobią”. – „Panie profesorze, miałem iść na emeryturę, cofnęli mnie”. Wtedy pomyślałem, że chyba niepotrzebna była ta moja „przekora”.

Chcieliśmy z Żoną pojechać do moich Rodziców do Gdańska, na święta Bożego Narodzenia, które przecież przez trzy lata spędzaliśmy poza Polską. Wicedyrektor Instytutu Matematyki profesor Bolesław Szafirski musiał napisać oświadczenie, że weźmie odpowiedzialność za Instytut, dziekan Andrzej Białas musiał się zgodzić. Poszedłem gdzieś tam po pozwolenie na podróż do Gdańska. Wzbudziłem wesołość: „Aha, do Gdańska chce pan jechać? Ha, ha...”. Trudno. Ale 19 grudnia rano, zaraz po godzinie milicyjnej, rozległ się dzwonek u drzwi. Zadrgała we mnie niepewność. W drzwiach stała „tylko” moja siostra Maria z Gdańska. Po pierwsze, miała delegację do Instytutu Matematyki na konsultację w sprawach kartograficznych (bez tego nie mogłaby przyjechać), a po drugie, miała wezwanie dla całej rodziny Andrzeja Pelczara, kolejno wymienionej, do natychmiastowego stawienia się w Instytucie Medycyny Tropikalnej w Gdyni na badania po pobycie w Nigerii. Musieliśmy jechać, prawda? Jechaliśmy kuszetką, jako jedyni pasażerowie w wagonie. Byliśmy też jedynymi pasażerami, którzy 24 grudnia wysiedli w Gdańsku z tego pociągu.

Tuż po wprowadzaniu stanu wojennego ogłoszono zamknięcie studiów, z tym że pozwolono uruchomić tzw. seminaria magisterskie; dotarła do nas informacja, że takie mogą się odbywać. Przystudiowaliśmy regulamin studiów. Okazało się, że temat pracy magisterskiej student powinien otrzymać

najpóźniej na czwartym roku, ale może otrzymać już na trzecim. Była jednak jeszcze wtedy końcówka studiów tzw. czteroletnich. Więc prosta indukcja: że jeżeli dla pięcioletnich studiów temat pracy magisterskiej można ustalić na trzecim roku, to dla czteroletnich można na drugim. Wobec tego robimy zajęcia magisterskie, od drugiego roku począwszy! Problem polegał na tym, że mieliśmy studentów z daleka, którzy musieliby przyjeżdżać i nocować. Ustaliliśmy, że środa będzie dniem, w którym możemy prowadzić zajęcia do dziewięciu godzin naraz. Oczywiście, były to przede wszystkim wykłady. Poszedłem do prorektora ds. studencko-wychowawczych profesora Jana Błońskiego. Poprosiłem go, aby studenci mogli nocować w domach studenckich, na co musiał wyrazić zgodę. Spojrzał na mnie zdziwiony – nie znaliśmy się wtedy w ogóle – ale powiedział od razu: „Jeżeli przyjdzie podanie z poparciem od pana, to ja podpiszę. Może pan działać”. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że Błońskiemu nie zadrgała nawet ręka. Wysłaliśmy do wszystkich studentów, od drugiego roku począwszy, wezwanie, aby stawili się w Instytucie, w tym a tym dniu, w tym a tym pokoju, tzn. w moim. Inaczej nie mogliby przyjechać – musieli lokalnie uzyskać pozwolenie na podróż. Postanowiłem rozmawiać z każdym studentem z osobna. Nie licząc pierwszego roku, było ich około 450 osób. Niektórzy wchodzili do mnie kompletnie zdezorientowani i zdenerwowani. Nie znali mnie (nie było mnie trzy lata w Polsce!), nie wiedzieli, co się dzieje. Mówiłem im: „Gram z panem/panią w otwarte karty. Mamy taką ideę. To może być ryzykowne, bo może zostać potraktowane jako jakieś tajne nauczanie; mam nadzieję, że nie, ale nie wiem, co będzie. Musicie się zdecydować, czy przyjeżdżać raz w tygodniu. Po zajęciach dostaniecie zadania, tak będziemy funkcjonować”. Wszyscy się zgodzili. To trwało ponad dwa miesiące, do kwietnia 1982. Miało to dwie strony: jedną merytoryczną – było ważne, że nie traciliśmy czasu, i drugą, znacznie ważniejszą – pokazaliśmy studentom, że o nich myślimy, że nie zostawiliśmy ich samych i że nie powinni się bać.

AMK – *W latach 1984–1987 był Pan prorektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego ds. dydaktyczno-wychowawczych, jak to się wtedy nazywało. Profesor Krzysztof Zamorski opowiadał mi, że Służba Bezpieczeństwa z urzędu zawiadamiała administrację UJ o aresztowaniu studentów.*

AP – Zawiadamiała, ale z opóźnieniem. O to właśnie szło. Jako prorektor ds. studenckich często dowiadywałem się o takich aresztowaniach dopiero z Ministerstwa, z Warszawy. I mogło wyglądać tak, że „jesteśmy beczynni”. Gdy gość z bezpieki przychodził do mnie w sprawach aresztowanych studentów, to rozmowę z nim najczęściej zaczynałem tak: „Panie kapitanie, dlaczego ja o tym nie wiem? Ja jestem obowiązany wiedzieć o tym wcześniej niż Ministerstwo. Ja muszę o tym wiedzieć wcześniej. Dlaczego mnie o tym nie zawiadamiacie?”. A rzecz szła o to, że jeśli rektor (bądź upoważniony

przez niego prorektor) „był beczynny”, to z urzędu miał wkraczać minister, który – jak pokazywały to przykłady innych uczelni – najczęściej relegował aresztowanego studenta. Musieliśmy więc pokazywać, że nie byliśmy „bezczynni”. Mieliśmy opracowany pewien schemat postępowania. Zaczynało się od... zawieszenia w prawach studenta i skierowania sprawy do komisji dyscyplinarnej. Komisja przystępowała do działania bez zbytejnego zresztą pośpiechu, rozpoczynając procedurę od wezwania do złożenia zeznań tych osób, które występowały w rolach świadków w postępowaniach przed sądem lub kolegium orzekającym. Jeżeli dobrze pamiętam, żaden z tak wezwanych świadków się nie stawił. Wobec tego – odczekawszy jakiś czas – sprawę się umarzało. Opowiadam o tym tak szczegółowo dlatego, że spotykałem się z pytaniami (z potencjalnymi zarzutami w podtekście) typu: „Czy to prawda, że zawieszaliście (zawieszał pan) aresztowanych w prawach studenta?”. No więc – tak, i to był sposób na ochronę studentów przed groźbą „wkroczenia ministra”.

AMK – *W naszej wcześniejszej rozmowie powiedział Pan, że jeździliście na procesy studentów aresztowanych w demonstracjach nie tylko po to, żeby swą obecnością mitygować sądcy, ale by oskarżonym studentom pokazać, że nie są sami*⁴.

AP – Chodziło o to, aby studenci wiedzieli, że nie są sami. Nas nie ruszano. Nie znam przypadku, żeby w latach 1984–1987 jakiś pracownik Uniwersytetu był bity. A studenci byli. Było niesłychanie ważne, aby nie dopuścić do wbicia klina między pracowników Uniwersytetu a studentów. Pamiętam rozprawę sądową, podczas której oskarżono studenta (potem był znanym działaczem politycznym) o to, że... pobił dwóch funkcjonariuszy ZOMO. Gdy weszli, aby zeznawać, to okazało się, że każdy z nich był chyba o głowę wyższy od oskarżonego, i można by całą sytuację uznać za groteskowo śmieszną, gdyby nie to, że rozprawa była prowadzona w trybie doraźnym. obrońcy oskarżonego, mecenasowi Krzysztofowi Bachmińskiemu, późniejszemu prezydentowi Krakowa, udało się uzyskać zmianę tego trybu na tryb zwykły, co miało ogromne znaczenie.

Bywały też dylematy, które wymagały natychmiastowego rozstrzygnięcia. Pamiętam pierwszą immatrykulację, którą prowadziłem w 1984 jako prorektor z dwunastoma osobami, po dwie z każdego z sześciu wydziałów Uniwersytetu. Byłem jeszcze w todze, kiedy podeszła do mnie pani Maria Rybacka z Działu Młodzieżowego (tak się wtedy nazywał dział, który teraz chyba nazywa się Działem Kształcenia) i powiedziała: „Panie rektorze, pan

⁴ Andrzej Pelczar i Andrzej M. Kobos, *Matematyka jako pasja*, [w:] *Po drogach uczonych – z członkami Polskiej Akademii Umiejętności rozmawia Andrzej M. Kobos*, t. 2, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2007, s. 27–50.

i wszyscy immatrykulowani przez pana studenci zostali zaproszeni na popołudnie do komitetu uczelnianego partii na herbatę. Studenci pytają, co robić? – To była niespodzianka. Jakoś trzeba było zareagować. Powiedziałem: „Niech zaraz po zakończeniu naszej uroczystości przyjdą do mnie”. Przyszli wszyscy, niektórzy chyba nieco wystraszeni. Powiedziałem: „Zostaliśmy wszyscy zaproszeni do komitetu uczelnianego partii na popołudnie. Mam taką propozycję: 5 minut przed czwartą (a może piątą – nie pamiętam już) jesteście wszyscy w tym pokoju i pójdziemy tam razem. Sądzę, że po 25–40 minutach ja wstanę i wtedy wy zrobicie to samo i wyjdziemy razem”. Dokładnie tak się stało. Z jednej strony pokazaliśmy, kto tu rządzi, kto nad studentami ma pieczę, a z drugiej strony nie zostali oni narażeni na różne szykany.

Kiedyś wpada do mnie pan Jan Gołda z Działu Młodzieżowego i mówi: „Panie rektorze, przyszło dwóch i chcą, abym im wydał dwa blankiety legitymacji studenckich, bo muszą mieć na wzór, aby mogli porównywać”. Po chwili zastanowienia poprosiłem go o dwa formularze. Długopisem, takim ordynarnym „drapakiem”, przekreśliłem (wręcz wydrapałem) te blankiety na krzyż i napisałem: *Wzór*. – „Niech im pan to da”. Podobno stracili na nie ochotę, ale wzięli.

Inne wspomnienie. Po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki w październiku 1984 odbyło się wielkie zebranie studentów. Wejście do Collegium Novum było tylko za okazaniem legitymacji pracowniczej albo studenckiej. Nie szło się do góry schodami wprost, tylko obchodziło się hol i wchodziło z drugiej strony. Chcieliśmy wydłużenia drogi do auli. Obawialiśmy się, aby na plecach studentów nie wjechali właśnie tacy, jak ci, którzy chcieli mieć legitymacje studenckie. Brama od ul. Jagiellońskiej była zamknięta, ale był ktoś, kto w razie potrzeby ewakuacji mógł ją otworzyć. Na szczęście nie doszło do żadnej prowokacji ani awantury. Aula była wypełniona całkowicie, korytarze i klatki schodowe też były wypełnione (razem było pewnie ponad 2000 osób). Studenci postanowili napisać list do prymasa i zawieźć go. Powiedziałem im, że pojedę z samorządem studenckim pod warunkiem, że pod tym listem podpisze się co najmniej 50 procent studentów na Uniwersytecie. Zebrali nawet więcej tych podpisów. Pojechaliśmy. Ksiądz prymas Józef Glemp przyjął nas bardzo mile. To był ważny gest ze strony studentów. Delegacja samorządu studentów pojechała również na pogrzeb ks. Popiełuszki.

Za moich prorektorskich czasów samorząd studencki był wspaniały, kapitalni młodzi ludzie.

Warto jeszcze dodać, że za „moich czasów” uruchomiono PaKĘ, czyli Przegląd Kabaretów Amatorskich, który dopiero co obchodził jubileusz 25-lecia. To był wówczas też bardzo swoisty wyraz postaw studenckich, niezgody na to, co nas otaczało. Było to również nietypowe pole do naszej,

tn. studentów i mojej, współpracy, wymagającej wielkiego wzajemnego zaufania. Duchem sprawczym był zmarły niedawno, wyróżniający się swego rodzaju „charyzmą organizatora”, Mirosław Wujas.

AMK – *Czy może Pan opowiedzieć o ciekawych epizodach, które dobrze charakteryzowałyby tamte „dziwne” czasy.*

AP – W 1986 w Paryżu miało się odbyć seminarium NATO-wskie na tematy związane z szeroko rozumianą organizacją studiów, zarządzaniem i jakimiś jeszcze ogólnymi zagadnieniami. Rektor Gierowski dostał zaproszenie poprzez CRE (Konferencję Rektorów, Wicekanclerzy i Prezydentów Uniwersytetów Europejskich, jak można przetłumaczyć ówczesną pełną angielską nazwę tego gremium). W myśl obowiązujących wtedy (już nieco zliberalizowanych) przepisów, na wyjazd zagraniczny nauczyciela akademickiego potrzebna była zgoda rektora uczelni, natomiast wyjazd rektora mógł nastąpić tylko za zgodą ministra. Co było oczywiste – rektor Gierowski zgody nie otrzymał. Ale mógł... wyrazić zgodę na mój wyjazd. W taki sposób znalazłem się w Paryżu na seminarium organizowanym przez NATO jako jedyny „przedstawiciel Europy Środkowej i Wschodniej”. Był to pewien ewenement. Ewenementem było chyba i to, że... nie wzywano mnie ani przedtem, ani potem, ani nikt do mnie nie przyszedł w tej sprawie. To pewnie tylko ciekawostka, przykład sytuacji, która z punktu widzenia całości może wydawać się drugorzędnym detalem, ale z takich detali składały się wtedy czasem ważne sprawy.

AMK – *Czy na wysokim, rektorskim poziomie istniała wówczas świadomość, że Uniwersytet mógł być spenetrowany przez Służbę Bezpieczeństwa?*

AP – Trudno powiedzieć, że była to penetracja, tak samo jak trudno sobie wyobrazić, aby безпеca nie miała „swoich ludzi” na Uniwersytecie, to chyba oczywiste. Ale o „masowej penetracji” nie można mówić.

Kiedyś, wcześniej jeszcze, jeden z kolegów matematyków z Czechosłowacji dziwił się, że byłem dyrektorem Instytutu Matematyki, nie będąc członkiem partii. Zapytałem go, czy wie, ilu jest członków partii w Instytucie Matematyki na około 70 osób tam pracujących. Nie umiał zgadnąć. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że... jedna.

Wiedziałem, miałem na to dowody, że mój gabinet był na podsłuchu i moje telefony też, zarówno służbowe, jak i domowe. „Oni” doskonale wiedzieli, jakie było moje stanowisko i poglądy. Gdyby im było potrzebne, sfabrykowaliby wszystko, co tylko by chcieli. Uważałem, że nie należy przesadzać z ostrożnością; były jednak sytuacje, że zamiast rozmawiać, pisaliśmy na karteczkach, które potem paliliśmy. No i ważne rozmowy odbywaliśmy z reguły na Plantach, spacerując w kierunku Wawelu i z powrotem.

AMK – *W końcowym rozrachunku: czy oni nie mieli sił, czy nie chcieli?*

AP – Wtedy chyba już sobie to wszystko lekceważyli. Wydawało się im, że po stanie wojennym wszystko mają w garści. A może, na zasadzie przeciwstawnej skrajności, już odpuszczali to, co i tak wymykało im się z rąk.

AMK – *W latach 1986–1987 nastąpił wyraźny spadek zaangażowania społecznego, społeczeństwo stało się apatyczne; w sytuacji ogromnych braków podstawowych produktów ludzie chcieli przeżyć.*

AP – Zainteresowanie oporem pewnie „ogólnie” spadło, wielu ludzi było zmęczonych – z tym się zgadzam. Ale ja osobiście odbierałem sytuację przeciwnie. Należałem do tych, którzy byli absolutnie przekonani, że system musi się rozpaść. Okrążył Stół przyjąłem jako coś, co w takiej czy innej formie musiało nastąpić.

AMK – *Jeszcze o wcześniejszych latach. Jaki był realny wpływ Tajnej Komisji Zakładowej „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego?*

AP – Na pewno Tajna Komisja miała pewien wpływ. Ja w szczególności uznałem jej argumenty i wycofałem moją rezygnację pod wpływem rozmów z profesorem Michałem Pułaskim, o czym już wspominałem. Odbierałem to, co mówił, jako stanowisko Tajnej Komisji.

AMK – *Ustyszałem w tych rozmowach, że był Pan parokrotnie jako prorektor na zebraniach poszerzonej Tajnej Komisji „Solidarności”.*

AP – Nie. Nigdy nie byłem na takim zebraniu. Były różne spotkania, ale nie w tej formule, z osobami, o których doskonale wiedziałem, że są w podziemnej „Solidarności”. Mieliśmy na przykład specyficzne spotkania przed wyborami w 1989 w Komitecie Obywatelskim.

AMK – *W 1987 roku w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego skreślono Pańskie nazwisko z listy kandydatów na stanowisko rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego.*

AP – Tak. Jeżeli mówimy o tych sprawach, to powiedzmy i o tym wyraźnie. Senat najpierw wybrał trzy osoby jako kandydatów na rektora. Byłem na pierwszym miejscu. Według ówczesnych przepisów należało, jeszcze przed wyborami, przedstawić kandydatów ministrowi szkolnictwa wyższego, który... miał prawo weta. Moje nazwisko skreślono.

Co wchodziło w grę? Oprócz demonstracyjnej rezygnacji w 1985 z funkcji prorektora, o której oczywiście dobrze wiedzieli, było kilka innych spraw, które pewnie sobie zapamiętali. Na przykład taka. Po wybuchu reaktora elektrowni atomowej w Czarnobylu w marcu 1986, z Ministerstwa przysłano mi telefaks, że – w ramach umowy z Ukrainą Republiką Radziecką na temat wymiany słuchaczy studiów „językowych” – mam wyznaczyć

dwie grupy studentów na wyjazd do Gomla (w Ministerstwie nawet nie wiadano, że polską nazwą tego miasta jest Homel). Wcześniej, przez lata nie mogliśmy zrealizować tej części rzeczywiście istniejącej umowy, która dotyczyła przyjmowania przez stronę ukraińską – sowiecką – naszych studentów ukrainistyki. Tamci studenci przyjeżdżali tutaj co jakiś czas, ale naszych tam nie wpuszczano. Nagle, tuż po Czarnobylu, okazało się, że są zaproszenia. Zasięgnąłem opinii fizyków, jak wyglądała strefa skażenia. Okazało się, że Homel leżał na linii jednego z kierunków najgorszego skażenia. Odpowiedziałem więc bardzo kategorycznie, że żaden student Uniwersytetu Jagiellońskiego tam nie pojedzie.

Profesor Jerzy Wyrozumski uważał, że to była główna przyczyna skreślenia mnie z listy kandydatów na rektora; myślę, że może nie główna, ale jedna z ważniejszych.

To mi zresztą wyszło na dobre. Potem, w 1990, na zupełnie innych zasadach zostałem wybrany na rektora UJ. Po raz pierwszy od dziesięcioleci wybory rektorskie były w pełni takie, jak powinny być.

AMK – *Wydaje się, że kadencje rektorów Gierowskiego i Koja zasadniczo zmieniły Uniwersytet Jagielloński...*

AP – Myślę, że była to kwestia konsekwentnej i systematycznej ewolucji. Jeżeli mówimy o reformach na Uniwersytecie, to te, które były przeprowadzone przed przełomem, w sytuacjach rozmaitych opresji, musiały być bardzo powolne. Przez osiem lat postępowały, ale jeżeli Pan pyta o jakąś cezurę czasową, to nie potrafię jej wskazać.

Wyjdźmy jednak poza okres, o którym rozmawiamy. W 1990, gdy objąłem funkcję rektora, wiele reform mogło ruszyć, a w każdym razie mnóstwo zamiarów reform było już wyraźnie sformułowanych. W tym miejscu wspomnę o mojej, być może nieco zaskakującej i prowokacyjnej obserwacji. To, co przez długi czas było naszą siłą, pewną impregnacją wobec wpływów zewnętrznych, zaczęło być na niektórych polach pewnym elementem hamującym. Najbardziej otwarci na tendencje zmian byli najmłodsi oraz najstarsi, którzy niegdyś znajdowali się pod wpływem przedwojennej kadry. A środek, z pokolenia średniego – właściwie mojego – był dość konserwatywny, nie w sensie politycznym, tylko co do zmian organizacyjnych, co do samej koncepcji organizacyjnej Uniwersytetu i formalnych ram struktury studiów. W proponowanych reformach chodziło o zacieranie granic między wydziałami i o zniesienie sztywnych reguł dotyczących kierunków studiowania. Wśród tych, którzy byli już w miarę dobrze usytuowani w hierarchii uniwersyteckiej, tkwiły psychologiczne bariery. To może być bardzo subiektywne odczucie, nie mam tu żadnych „danych statystycznych”, ale wydaje mi się, że tak było.

AMK – *Wróćmy do późnego 1988 i wczesnego 1989 roku.*

AP – Były strajki i demonstracje studentów. Dwa razy przemawiałem przed Collegium Novum. Za pierwszym razem mówiłem studentom, aby nie dali się sprowokować. Miałem w pamięci październik 1956. Na Węgrzech łała się wówczas krew. Wtedy studenci byli ogromnie podminowani, m.in. tym, że krakowski konwój z krwią na Węgry został zatrzymany w Czechosłowacji. Pamiętałem demonstrację studentów przed AGH; byłem tam jako student. To mogło, w drodze prowokacji, przerodzić się w bardzo ostrą, dramatyczną, a może i tragiczną, sytuację. Wtedy przemówił ówczesny komendant Studium Wojskowego UJ. Powiedział – całkiem niewojskowym językiem – że trzeba być odpowiedzialnym, zdawać sobie sprawę ze wszystkich możliwych konsekwencji, i tym rozładował to napięcie⁵.

Drugi raz przemawiałem w czerwcu 1989, w związku z masakrą na placu Tiananmen w Pekinie. Zbiegło się to z wyborami u nas.

AMK – *Proszę o kilka wspomnień z Pańskiej działalności w Komitecie Obywatelskim.*

AP – Od początku, tj. od 1988, byłem w Małopolskim Komitecie Obywatelskim, a w 1989 w Krakowskim Komitecie Obywatelskim.

Był zwyczaj, że na zebraniach Komitetu Obywatelskiego było dwóch prowadzących. Pamiętam, że z Andrzejem Szczeklikiem prowadziłem zebranie Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego w auli Collegium Novum.

Przed wyborami mieliśmy najpierw kilka spotkań w węższym gronie, podczas których ustalaliśmy kandydatów na posłów i senatorów. Jako kandydata na senatora szybko zaproponowaliśmy profesora Romana Ciesielskiego; chyba inne, podobne gremia też wymyśliły tę kandydaturę.

Pamiętam dobrze zebranie Komitetu Obywatelskiego u oo. bernardyńskich, naprzeciwko Wawelu, które odbyło się w ostatnim możliwym terminie, aby zarejestrować listy wyborcze. Zaczęliśmy po południu w sobotę, a skończyliśmy około godziny czwartej rano w niedzielę. Ustalaliśmy listy kandydatów na posłów i senatorów. Dyskusje, jak to bywa (i pewnie musi być) w sprawach personalnych, były bardzo, bardzo gorące. Gdy wychodziłem z tego zebrania, to pierwszy raz w życiu byłem przekonany, że miałem wpływ na coś naprawdę ważnego. Było tam 120 osób – pomyślałem sobie, że 1/120 to jest coś. Nie znałem przyszłych wyników wyborów, ale miałem poczucie, że w sposób istotny coś ode mnie zależało. Że wygramy – nie

⁵ Pamiętam, że na jego rozkaz zabrano ze Studium Wojskowego w Collegium Novum całą broń, mimo że karabiny miały dziury w zamkach i nie można było z nich strzelać, ale miały bagnety. Uważam, że to właśnie było odpowiedzialne. Później studenci popierali jego kandydaturę do ówczesnego Sejmu, a jeszcze później jego losy potoczyły się w skomplikowany sposób, lecz nie ze względów politycznych.

miałem żadnych wątpliwości, ale nie zdawałem sobie sprawy, jaka będzie skala tej wygranej.

Byłem więc w komitetach obywatelskich, zarówno krakowskim, jak i małopolskim. Brałem zatem udział w przygotowywaniu list kandydatów do Sejmu i Senatu, jak i w wyborach samorządowych. Ale po wyborach wystąpiłem z Komitetu Obywatelskiego. Nie widziałem siebie jako aktywnego działacza politycznego (pomimo bardzo zaszczytnych, nieco późniejszych, propozycji), tym bardziej że pochłonięty byłam obowiązkami związanymi z funkcjami akademickimi. Jeżeli mam powiedzieć cokolwiek chwaleńczego siebie, to chyba tylko to, że mimo iż nie byłem w strukturach „Solidarności”, wielokrotnie zwracano się do mnie o zdanie w sprawach – nazwijmy – poufnych, najwyraźniej miano więc do mnie zaufanie.

AMK – *Jak po latach patrzy Pan na okres swojego zaangażowania przed 1990 rokiem?*

AP – Oszczędzono mi jakichś dramatycznych zagrożeń, ale i nie byłem zaangażowany w sensie kombatanckim. Nic z heroiczności. Na samym początku pomyślałem sobie: „Co tak naprawdę mogą mi zrobić? Zdjąć z funkcji? (tak to się mówiło). Dobrze. Co z tego?”. I tak się mniej więcej stało. Aresztować – no, to byłoby bardzo przykre, przede wszystkim dla rodziny. Ale aresztowania nie brałem poważnie pod uwagę, gdyż nie widziałem racjonalnego nim zagrożenia. Mogli mi przyblokować karierę naukową – ale jakoś to szło. Mamy kronikę Instytutu Matematyki UJ z ostatnich trzydziestu lat. Jest w niej taki wpis w 1982: „Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej. No... może pojutrze”. Nie ukrywam, że mam satysfakcję z tego, iż jestem jego autorem i... miałem rację.

Ktoś kiedyś zapytał mnie, w kontekście opowieści o tamtych czasach, o moją dewizę. Odpowiedziałem, że najprostsza była (i chyba jest) taka: „Nie bój się byle czego”. Dlatego absolutnie nie widzę się w roli aktora spraw heroicznych. Myślę, że dewiza Władysława Bartoszewskiego jest bardzo dobra: „Warto być przyzwoitym”. Tego starałem się trzymać. Mniejsze czy większe dolegliwości z tym związane – eeee, bez przesady...

AMK – *Profesor Aleksander Koj dwa dni temu powiedział do mnie: „Andrzej Pelczar jest aż do bólu przyzwoitym człowiekiem”.*

AP – Wie Pan, to dla mnie jest niesłychanie ważne stwierdzenie, tym bardziej że mogę się zrewanżować podobnym pod adresem Aleksandra Koja.